

Napisał: Henryk W. Gajewski

Ilustrował: Mateusz Gawryś

DEWOLUCJA



...wsączał się zmierzch. Aż raptem, jak zawsze nad wieczorem, pojaśniał strop, zaśniły ściany, spłynęło z nich światło. Ale jeszcze rozciągnął je błękit resztek dnia, toteż nie zdołało nawet podbarwić moich dłoni, które przybliżałam ku oczom, w które wpatrywałam się od wielu godzin, jak gdybym cieszyła się z posiadania ich, ostatni już raz. Niemniej widziałam je, aczkolwiek spowite w mroku, nader wyraźnie, jak ejdetyk zwiduje sobie wyraziście, żywo, dokładnie, obrazy wcześniej usunięte sprzed oczu. Nawet gdy opuściłam ręce, po czym ułożyłam wzdłuż tułowia, widziałam je przecież nadal. Po prostu oglądałam oczyma pamięci. A widok tych właśnie dłoni, przepatrywanie rzeźby skóry na opuszkach palców, pietyzm dla ich doskonałości chwytnej, wszystko to sprzyjało poczuciu siły, spokoju, odprężenia, oddalało nawroty natrętnych myśli. Chciałam i nie chciałam tego. Bo i tak doznawałam wrażeń, jakobym z dawien dawna dźwigała na sobie bezmierne brzemię. Unosiłam je bez wytchnienia i bez nadziei na drobinę ulgi. Albo znowu, ku swemu zadziwieniu, zadreślałam się gonitwą myśli – dziesiątkami dlaczego? – jakie dawniej nigdy nie zaświtywały w mej głowie. A z nich najprzykrzej dokuczala jedna: właściwie kto i w imię jakich ideałów zadał ten ciężar na moje barki? I myśl ta powracała uparcie, ze smętnym podszeptem, jak martwa fala.

Zdobyłam się wreszcie na wysiłek: przypomnieć sobie, nawet za cenę resztek spokoju, omyłkę, lub raczej przyczynę, która w skutkach okazała się i zgubna, i jednocześnie zbawienna dla mnie – odkobiecila mnie, lecz zarazem wyniosła na niedosiężne wyżyny... no, niemal że ze świata urojeń. Ale dziś ów świat podoblocznych dokonań kończył się bezpowrotnie. Płaskość nizin stawała się rzeczywistością...

Spoczywam teraz jak delikwentka. Od poranku nie opuszczam gabinetu, gdzie przed lat dziesiątkiem przedsięwzięłam misję, nie inaczej jak tylko dziejową, ulepszenia, a może wybawienia człowieka. Albowiem jakże małostkowo zapowiadały się wówczas obietnice rzeczników modelowania osobowości skalpe-

lem. Więcej w tym było kramarstwa, że nie nazwę tego szarlatanerią, niż nauki użytecznej. Niemal zabawnie, wręcz naiwnie brzmiały ówczesne dysertacje, raporty, referaty na sympozjach, kiedy to sławy psychiatrii zalecały zabieg stereotaktyczny na mózgu debila lub przestępcy, jeśli anomalie psychiki tych ludzi występowały notorycznie.

Że też w ubiegłym stuleciu uczeni nie ogarnęli ani nie potrafili docenić szansy – takiej właśnie, jaką los składa jedynie w ręce wybrańców. Nękała ich ponoć obawa przed odpowiedzialnością za... krzywdę jednostek. Hm... odpowiedzialność?! Wobec kogo i czego? Ludzkość... historia... etyka... przecież to pojęcia umowne, metaetyczne, podatne na przeformowania jak tworzywo w rękach rzeźbiarza. Bo społeczeństwa, jeżeli rozpatrywać je jako zbiory ludzkich jednostek, dają się urabiać dowolnie, wedle intencji uczonego.

Tymczasem oni, prekursorzy mojej metody, poczynali sobie nieśmiało, jednostkowo, jakby z bojaźnią. Nie zdobyli się nawet na pełnię nowoczesności. Nikt nie domyślił się, że należy wybiec w przyszłość, jaka przecież nie czeka, jeno stale podąża naprzód. Dlatego to dokonania ówczesnych obracały się w kręgu przeteoretyzowanych, jednorazowych prób. U schyłku XX wieku był to schemat: jeden uczony na jeden obiekt i jeden eksperyment, a potem sto publikacji. Zwykła małostkowość wieku.

Kiedy w mózgu przestępcy wysondował Roeder ganglion zbrodni, po czym wypalił laserem, chełpił się wtedy pomyślną reedukacją jednostki spoza marginesu... Hirorato uleczył krnąbrne dziecko... w analogii zaś to obaj karmili miliard głodujących jednym bochenkiem. Dopiero później Delgado nakreślił mapę mózgu, opisał pola głuche, by potem stymulować je, aby rządzić popędami, wnioskowaniem, po prostu modelować osobowość. Była to niewątpliwie droga słuszna. Jedyna. I uderzała genialną prostotą – elektroda pod sklepieniem czaszki, a manipulator w zandrzu; ruszanie pokręteł sterowało różnice potencjałów na synapsach i tym samym pacjent dostrajał osobowość i dopasowywał do sytuacji, niweczył odruch wiodący ku konfliktom,

w jakie popadałby skutek własnej spontaniczności, usprawniał proces myślenia, łatwiej wywikływał się z położań kłopotliwych.

Ale i on, Delgado, przeoczył prosty aksjomat. Zapomniał, że w życiu nie ma rozwiązań dobrych ani złych. Jest tylko działanie sił. A siłami tymi należy umieć kierować. Przynoszą wówczas optymalne wyniki. Delgado natomiast ujednostronił naukę. Ograniczył się przecież do prób z łakomczuchami. Wyobrażał sobie żarłoka, który pozbywał się gargantuicznego łakomstwa przez stymulację, pomimo widoku rozmaitości przysmaków. Uczony ten jednak nie przewidział głównego mankamentu w swoich założeniach. Oto bowiem żarłok, u suto zastawionego stołu, raczej wyłączał stymulator i nażerał się do przesyty, niż usiłował nastymulować w mózgu wstręt do jada.

Ale swoją hipotezę Delgado rozpełtał swoistą erupcją zainteresowań w środowisku fantastów. Z nich potem, z tych potencjalnych wynalazców, takich z głowami w płomieniu, wyłoniła się grupa. Nader samowładnie obezwali się szkołą Delgado i... poruszyli umysły zawsze niespokojnych laików. To już niepisane prawo: jakakolwiek prostota w nauce zawsze aktywizuje dyletantów. A tych ludzi pomysły na zutilitaryzowane odkrycia sięgały do absurdu. Ich samych zaś nakuwano ostrze satyry. I wkrótce potem nikt już nie wiedział, gdzie tu kończy się żart, a gdzie zaczyna się wiedza na serio. Proponowano zatem implantować elektrody w mózg mordercy, by ten, w chwili afektu, wywoływał w jaźni odrazę do zbrodni; u polityków zaś – by stymulowali sobie niechęć do autokracji; prawnikom – by zrazić ich do mactwa, a publicystom w trakcie pisania, by pielęgnowali w sobie zamiłowanie do prawdomówności... lista przypominków byłaby długa. Ale nie pomyślał żaden z uczonych bez polotu, ani zdawał sobie sprawy z tego zamętu, jakiego mieli dopiero okazać się siewcami. Za to porażka ich okazała się nauką na przyszłość. Przybliżyła przecież mój sukces. I tylko szkoda, że w konkluzji właściwe znaczenie miał wyłącznie bieg wydarzeń. Ale i układ tych wydarzeń jeszcze nie przesądził o niczym... Bo także i ja wykorzystałam doświadczenia Delgado i równych jemu uczo-

nych, jednego eksperymentu i... najwidoczniej też bez wnikliwszego spojrzenia w przyszłość.

No i co dalej?...

Nowalia przyjmują się w życiu, jak trawka na wiosnę. Dlatego na świecie przybywało ludzi z platynową igiełką w mózgowiu. Każdy zapragnął bowiem poprawić coś tam w centrach własnej osobowości: oziębli – czułość dla bliskich, leniwi – pilność w nauce, opieszali – operatywność w pracy; innym razem – pobudzić upodobanie dla sztuki, czasami zamiłowanie do nauk ścisłych (tacy liczyli się prawie na krocie), innym znów zachciewało się okazywać wysublimowaną dobroć...

A potem zryw, ten do sterowania psychiki, z wolna przeobraził się w rodzaj narkomanii. Stawał się nawet źródłem nie zamierzonych paradoksów na co dzień. Przytrafiało się nieraz widzieć dwóch takich o ultraogręcznieniu, gdy marnotrawili czas u bramy do biura. Albowiem wzajemnie prześcigali się w uprzejmości:

– Nie przed panem...

– O nie, przenigdy, pierwszeństwo dla pana...

Inni zaś, o przerysowanym poczuciu filantropii, rozdarowywali swoje mienie, wegetarianie opadali z sił na skutek przesadnie pojmovanej wstrzeмиęźliwości, a twórcy, gdy poniosło ich wzmożenie weny, oferowali wydawcom płody wyobraźni w nadmiarze – były to niewątpliwie dzieła znakomite, lecz ogromem swym przerastały dzielność wydawniczą nakładców – a cała ta chimeryczność mnożyła się za sprawą stymulatorów typu Delgado.

Już nie było nawet mowy o modelowaniu osobowości jako o dodatnim zjawisku społecznym. Raczej rozpręgał się z dawną ustalony ład życia na Ziemi. Bo właśnie ten, po wielokroć wypróbowany w społecznych przypadłościach, system reguł życia nie wytrzymywał konfrontacji z korekturą osobowości. Przecież skrajnie naindywidualizowane jednostki bez wahania zaryzykowałyby głowę, byleby potęgować, wedle upodobania, swoje charakterologiczne właściwości.

Dopiero garstka nas, ludzi niejako dobrej woli a zdrowego rozsądku, powzięła zamiar

powstrzymać ten pęd do upadku, wręcz do samounicestwienia ludzkiej myśli. Zebrało się nas 44. Rada starszych. A w samej rzeczy sąd kapturowy nad społeczeństwem wartogłów lub może wielkie konsylium dla uzdrowienia świata z rozpasania stymulacjami. Obradowaliśmy aż do świtu. I znów długo w noc... Jednogłośnie upadały wnioski po wniosku, obalano postulaty, fiaskiem kończyły się najśmielsze projekty.

Milcząc przysłuchiwałam się mówcom. Uczestniczyłam w zebraniu... no, po prostu pasywnie. Nie mogłam inaczej. Nawet najmarniejszy pomysł nie powstawał w mej skołatanej głowie. A tymczasem, do cna wyczerpane, umęczone do granic wysiłku, gremium całkiem nieoczekiwanie wystąpiło do mnie:

– Przyszłość należy ponoć do kobiet, a bohaterowie są już zmęczeni, ratuj więc świat, kobito!...

Przyznam dziś: wzbili mnie wtenczas w dumę. A moja uprzednia bierność okazała się raptem owocna. Przecież sama obecność innych, głośnie ich rozumowanie wyzwala w biernym człowieku mechanizm szczególnie wyostrojonej kontroli, dzięki której łatwo powyłapywać niedokładności cudzej spekulacji – wyzwolić u siebie myślenie odkrywcze. I dlatego, a być może przede wszystkim dlatego, ułagł się ten mój pomysł – niespodziewanie dla mnie samej. Wprawdzie rzuciłam go na pastwę dyskusji uczonych bez wiary w powodzenie, lecz nie bez widoków na własne korzyści. Wyszło to wtedy tak jakoś samo przez się, jak przejęzyczenie. Powiedziałam wówczas:

– Wszystkich tych, którzy kiedykolwiek implantowali sobie elektrody typu Delgado, musimy stymulować centralnie i programowo...

A później to już tylko brawa, oklaski, gratulacje, zaszczyty. Bo gremium w całości uczepiło się tej rady, z determinacją topielca, który w toni zaciska lewicą palec prawej dłoni, a panika rysuje dla niego miraż solidnej podpórki.

Sam pomysł jednak to dopiero zapowiedź powodzenia. To coś takiego, jak obietnica synoptyków. Ale urzeczywistnienie pomysłu to już ogrom łamigłówek technologicznych. Mnożą się wtenczas problemy, z pokonania

jednego wynika drugi, z rozwiązania drugiego wyłania się następny i... jeszcze dalsze, zdawałoby się bez nadziei na kres. Dopiero trzeba brnąć, przedzierać się przez dziewiczość trudności, szukać najwłaściwszej ścieżki w płątaniu drózek rozwiązań, na pozór trafnych, godzić się na kompromisy, ustępować, by móc podążać naprzód. Pamiętam... wyrosła wtedy przeszkoda wręcz nie do sforsowania. Był to niemal protest młodego uczonego:

– Jak u licha, w jaki sposób podporządkujemy miliardy niezależnych stymulatorów dyspozytorni głównej, jak wreszcie scentralizujemy stymulowanie?...

Cisza zaciążyła kamieniem, pogrzebywała mój pomysł bezpowrotnie. Myślałam z niechęcią: sukces... porażka... czy wyrazy te w ogóle mają jakikolwiek sens? Być może to tylko sens umowny? Ale pod nim ustawicznie coś tętni... sposobi nowe przeznaczenia. Bo sukces niewątpliwie nadwałłi jednych, za to klęska poderwie drugich z letargu. Wtem dwudziestoparoletni cybernetyk wykrzyczał niemal ze łzami w oczach:

– Jeśli nie jesteśmy zdolni oddziaływać na mózgi pośrednio, przez stymulatory, to emitujmy program na takiej fali nośnej, jaka po-działałaby bezpośrednio na system nerwowy!...

Był to projekt z krainy science fiction. Dlatego wywołał lawinę śmiechu. Ale również wskazał kierunek do rozważań. A potem już rozwiązanie stało się łatwizną. Niemniej duża pomoc okazała... no, satyryk. Pisał on niegdyś: „W naszym wieku rodzą się dzieci już z plombami w zębach...” Właśnie te plomby zawierały przecież pierwiastki o właściwościach półprzewodnictwa – idealny detektor sygnałów dyspozycyjnych do mózgow.

Stało się więc...

Pierwszy impuls zablokował stymulatory. A następne wysterowały model myślenia, które, nazbyt indywidualizowane dotychczas, podporządkowało się teraz programowi opartemu na wymaganiach współczesnego ładu. I co najważniejsze: model ten obowiązywał wszystkich jednakowo. Był po prostu wspólny: konwenansów tyle, domatorstwa tyle i tyle, pracy w miarę sił i zdolności, do smaku

dodać miłość, podzielać ideologią... odmierzyć i odważyć, ściśle w myśl starej zasady – dentur tales doses fiat eden lege artis...

A dyspozytorem zbioru osobowości zostałam ja. To mnie, wyłącznie mojej pieczy, powierzono ów dosłowny rząd dusz na świecie. Za to dziś, kiedy wspomnę tamten wysiłek, zliczę i zbilansuję poniesione nakłady, z rachunku wynika przegrana. A przecież zainwestowałam w tę sprawę kobiecą skrupulatność, intuicję, bezkompromisowość, postawę jednej słabej kobiety przeciw wszystkim, w efekcie natomiast zyskałam przysłowiowy kaduceusz. A chciałam kochać i tylko kochać...

Smutno mi teraz. Lecz widzę omyłkę. Spod mojej kontroli wymykały się mózgi Rady 44, jako grupy niezależnych, wprawdzie zjedanych, ale nie podporządkowanych jednemu programowi myślenia. Aż dziwno teraz. Jeśli przecież okazywali posłuszeństwo z przyjaźni, to oszukiwałam ich. Dlaczego więc rościłam sobie prawo, by żądać takiej ofiary z ich strony? Ba... niełatwo sądzić własne postęпки. Ale tu właśnie utkwiał początek wielkiej pomyłki. Należało bowiem wymusić na nich zależność. Przysługiwałby im, oczywiście, pewien przywilej, model osobowości, jednakże podporządkowany programom, no, i sterowany centralnie. Przeoczyłam to. I to właśnie zmściło się teraz na mnie.

W łonie Rady 44 zaczęły się bowiem kontrowersje... Odezwał się zapewne jakiś atawizm, żądza walki o władzę. I teraz czekam na decyzję, jaką mają powziąć ci ludzie. Czekam jak na topór kata. Łudzę się jeszcze nadzieją. Ale wyrok już przesądzony. Wyrok: dwie platyno-

we igielki pod sklepieniem czaszki. A potem?... no, zaliczona zostanę w poczet podporządkowanych dysponentowi osobowości, swojemu następcy, po prostu dołączę do całej masy obywateli Ziemi – planety elektronicznej szczęśliwości. Jako człowiek swojej epoki winnam poddać się woli tych ludzi. Owych nie koronowanych władców świata. Jednak jestem kobietą. A zatem upór i wytrwałość przeciwstawiam przekorom życia. To niejako mój przywilej. A raczej przymioty wykształcone w tysiącleciach, od czasów matki Ewy po miniony wiek XX, kiedy to jeszcze stawiano nas w społeczeństwach na drugim planie.

Nie jestem wieczna. Wiem to i godzę się z tym. Lecz nie ścierpię, by dokonania moje utraciły dla mnie wszelki sens, by otoczyła je intelektualna pustka. Nie! Nie skapituluję dobrowolnie ani nie ulegnę przemocy. Mam tu, w tym gabinecie, skrytkę. W niej leży pamiątka rodzinna. Taka stalowa rurka osadzona w rękojeści z ebonitu. Zawiera dziewięć kropli ołowiu w otulinie ze stali. Dziadek był ongiś bohaterem. A to... zostało po nim. Dziś powiedzielibyśmy: morderca. Ale w tamtych czasach? Najwidoczniej nasi przodkowie akceptowali inne modele pojęć etycznych. Inaczej szacowali wartości takich słów jak walka lub zabijanie. Dawne, dobre czasy...

Muszę teraz walczyć, czeka mnie wybór. Skierować w usta wylot owej rurki, po czym zwolnić sprężynę, albo... wymierzyć w nich, w tych dwóch, którzy przyjdą po mnie, zbrojni w gaz obezwładniający wolę, by ponieść mnie na zabieg. Już nawet słyszę ich stąpanie. Idą już...

A zatem?...

